

OPOWIEŚĆ RODZINNA



**Krystyna
Rusin**

*Los szachownicą dni i nocy włada,
Gdzie w partii rola pionków nam przypada,
Które się wodzi, zbiera i ubija
I znów kolejno w pudełku układa.*

Moja rodzina w obydwu liniach pochodzi ze zwykłych chłopskich rodzin, jakich dużo było na przełomie XIX i XX wieku w Beskidzie Niskim, a dokładnie w Beskidzie Makowskim.

Ród od strony matki wywodzi się ze wsi Harbutowice, leżącej koło Myślenic, a Ród ojca z Żarnówki koło Makowa Podhalańskiego. Niewiele wiemy o naszych najdalszych przodkach, chłopskie rodziny kronik nie pisały. Życie każdego pokolenia było na tyle ciężkie, że nikt nie pamiętał jak kto żył dawniej. Prości ludzie nie odczuwali potrzeby pamiętania o swoich przodkach.

Aby ocalić od zapomnienia okrucieństwa pamięci o przeszłości, dopóki jeszcze żyją świadkowie niektórych wydarzeń, w tym moja mama Stanisława mająca dziś osiemdziesiąt lat oraz jej siostry Agata i Helena, postanowiłam spisać część wspomnień. W czasie rocznej pracy po licznych rozmowach z najstarszymi członkami rodziny, udało mi się ustalić imiona i nazwiska czterdziestu siedmiu potomków w linii prostej Magdaleny i Wojciecha Hajostów – pradziadków linii macierzystej dla mojego pokolenia oraz stu czterdziestu potomków Melchiora Rusina, pradziadka w linii ojczystej.

Magdalena i Wojciech Hajostowie urodzili się gdzieś około lat 1860 - 70. Pewny jest tylko rok śmierci prababki Magdaleny – 1887 rok. Prawdopodobnie oboje żyli krótko. Magdalena umierając osierociła dwuletnią córkę Wiktorię i zaledwie dwutygodniową Annę, w przyszłości moją babkę. Owdowiały Wojciech wkrótce ożenił się ponownie z Katarzyną z domu Kocajda. Niedługo potem zmarł zostawiając córki z macochą, która jednak musiała być dobrą kobietą skoro wychodząc ponownie za mąż, za Stanisława Golonkę zabrała ze sobą pasierbice i wychowywała jak własne dzieci.

Nasze macierzyste rodowe nazwisko ma dziwne, nie podhalańskie brzmienie – Hajost. Krąży w rodzinie legenda, że mój przodek przywędrował gdzieś ze Słowacji, był obcym. Kim zatem był? Słowakiem? Cyganem, jak żartował wujek Pieronkiewicz? Czy może Węgrem, uczestnikiem Węgierskiej Wiosny Ludów (1848 rok), który nie mógł wrócić do rodzinnej wsi?

Czasy, w których opowiada ta opowieść były bardzo ciężkie dla górali, dzieci z chłopskich rodzin, a zwłaszcza sieroty, bardzo wcześnie musiały zapracować na kawałek chleba. Stąd też babka Anna wcześniej, tak jak i starsza siostra musiała pójść na służbę, jeździła także za zarobkiem do Prus. Kiedy dorosła...

Tu zaczyna się właściwa historia rodziny trochę dziwna i tajemnicza, której efektem są nasze rodzinne geny i dalsze, czasem skomplikowane losy. Lubię myśleć, że jest to historia romantyczna, choć w świetle ówczesnych obyczajów musiała uchodzić za skandaliczną. Jak oceniać bowiem związek z żonatą mężczyzną? Z szerszej perspektywy nie można dziwić się Annie, że „zadała się” z żonatą mężczyzną, będąc, już jak na tamte czasy starą panną szukała „bratniej duszy”. Stanisław Malina był naszym naturalnym dziadkiem, ze związku z nim babcia Anna urodziła dwie nieślubne córki w odstępie pięciu lat, Agatę w 1914 roku i Stanisławę w 1919 roku, moją przyszłą matkę. Malina nie próżnował w tym samym czasie miał legalne dzieci, wiem o Janie i urodzonej w 1919 roku Emilii. Dziadek nie wypierał się swoich nieślubnych dzieci, mama opowiadała mi, że okazywał im sympatię i zainteresowanie, ale na pomoc materialną z pewnością nie było go stać. Musiał być niezłym zabijaką i oryginałem, skoro dość młodo zginął w bójkę po wyjściu z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za okradzenie plebanii. Prawdopodobnie siedział niesłusznie, w tą kradzież wrobił go kochanek jego żony, który to potem go zabił. Babcia Anna by utrzymać siebie i swoje dzieci chodziła po służbie. W tym czasie jej córki wychowywali obcy, dobrzy ludzie, czyli Maria Łuczak córka Katarzyny Golonkowej. Mąż Golonkowej nie był dobrym człowiekiem, bił swoją rodzinę, w tym i moją mamę Stanisławę. W 1928 roku Anna odnalazła odrobinę stabilizacji, wyszła za wdowca Jana Lurkę z Żarnówki, któremu nie przeszkadzała jej przeszłość. Urodziła dwoje następnych dzieci, Antoniego i mając już czterdzieści dwa lata najmłodszą, Helenę.

W tym czasie jej starsze córki rozpoczynały dorosłe życie, oczywiście od służby po obcych domach, bo jak to się mówiło: za cały majątek miały drogę przez wieś.

Około 1938 roku, osiemnastoletnia wówczas Stanisława Hajost wpadła w oko pewnemu staremu kawalerowi z Żarnówki, trochę przymuszanemu do żeniaczki przez rodzinę. Był dobrą partią dla niezamożnej panny. Gospodarski najmłodszy syn, owiany legendą bogacza po powrocie z kilkuletniego pobytu w Ameryce Południowej, mieszkający z siostrą Antoniną rodzinnym domu. Do dnia dzisiejszego jedynym śladem po tej zagrodzie jest ponad stuletni cis, którego posadził przed domem Jan Kanty lub Melchior Rusin.

Tak więc nie bez nacisków ze strony rodziny, 22 listopada 1938 roku w kościele w Makowie Podhalańskim odbył się ślub moich rodziców, Stanisławy Hajost córki Anny z Leonem Rusinem, najmłodszym synem Jana Kantego i Rozalii z domu Niziołek.

Ponieważ od tej pory losy dwóch rodzin połączyły się z sobą na zawsze, pora napisać parę słów o rodzinie po mieczu Rusinów. Nazwisko rodziny wcale nie wskazuje na ruskie pochodzenie. Znajomy historyk wyjaśnił mi pochodzenie tego dość popularnego na Podhalu nazwiska. Rusinami od wieków rdzenna ludność Podhala nazywała obcych przybyszów, z innych regionów, mówiących odmiennym językiem. Dlatego jest tak popularne nazwisko w górach. W okolicach Makowa jest także Góra Rusinowa i wieś Rusinowa. Więc nie wiadomo gdzie są prawdziwe korzenie Rusinów.

W 1938 roku dziadkowie Jan i Rozalia już nie żyli. Zmarli nagle w krótkim odstępie czasu, Jan w wyniku wylewu w 1935 lub 1936 roku, Rozalia w 1937 roku po wypadku z krową (prawdopodobnie złamanie podstawy czaszki). Udało mi się odszukać nieliczne zdjęcia, prawdopodobnie z lat dwudziestych. Dziadek Jan Kanty ze swoimi sumiastymi wąsami i ostrymi rysami twarzy wyglądał na twardego człowieka, najbardziej do niego podobny był stryj Alojzy. Babka Rozalia zupełnie do niego nie pasowała, wyglądała na delikatną, drobną kobietę, podobna do niej jest tylko moja kuzynka Helena Nieckula z Żarnówki. Kto był rudy, ona czy jej mąż? W każdym razie mój ojciec jako brunet fizycznie nie był podobny do rodzeństwa.

Z początkiem małżeństwa moich rodziców, wiąże się trochę zabawnych historii. Jedną z nich jest historia narodzin mojej najstarszej siostry. Zazdrosna stara panna Antoszka, starsza siostra ojca mieszkająca z nimi, tak długo strzegła cnoty mamy, że Aleksandra – Bogusława urodziła się dopiero w 1941 roku, a następna siostra, która niestety zmarła, jak wiele wojennych dzieci niedługo po urodzeniu, już w 1942 roku. Jak było naprawdę, nie wiem, mama jest dość powściągliwa w tym temacie, a że Antoszka była niezłym dziwakiem i oryginałem, wiem bo znałam ją osobiście, więc jest to możliwe. Pociąg do staropanieństwa, czytania romansów na zmianę z historią powszechną, pewnie odziedziczyłam po niej.

Parę słów o naszym ojcu. Z wieku bardziej pasował na naszego dziadka, stąd też nigdy nie miałyśmy z nim dobrego kontaktu, czego bardzo żałuję. Kochał nas po swojemu, ale nie bardzo umiał to okazać. Chyba w ogóle nie bardzo lubił dzieci. Nieliczne jego zdjęcia z młodości pokazują, że nie był podobny do swojego rodzeństwa, jedyny brunet przy blond lub rudej reszcie. Miał sporo odwagi, nawet przy głoszeniu prawd niepopularnych, był ciekawy świata, chyba bowiem nie musiał wyjeżdżać za chlebem na drugą półkulę, jako najmłodszy i ukochany syn starych rodziców. Był w Argentynie, Paragwaju i Boliwii, czy był także w Brazylii nie jestem już tego pewna. Jako dzieci z otwartymi buziami słuchałyśmy jego opowieści o tych egzotycznych krajach. Po latach dopiero zorientowałam się, że są zbyt barwne jak na opowieści prostego robotnika, głównie budującego w głębszy tory kolejowe. Zwłaszcza, że ojciec dużo czytał oraz miał wielką wyobraźnię i fantazję, dziś już nie wiadomo co było prawdą a co fantazją. Faktem jest, że przebywał w Ameryce Południowej ponad siedem lat. Przywiózł z sobą trochę grosza, za który spłacił rodzeństwo i pewną znajomość języka hiszpańskiego, w tym języku niestety umiał tylko przeklinać. Wymurował połowę domu, w tamtych czasach był to szczyt zamożności. Ożenił się w wieku trzydziestu dwóch lat, tuż przed rozpoczęciem II Wojny Światowej. Nie wiem dlaczego nie został zmobilizowany w 1939 roku, albo był za stary, albo nie miał karty mobilizacyjnej, w naszym kraju biurokracja zawsze zawodziła.

Okupację niemiecką rodzina spędziła tak jak wszyscy w tamtych czasach. Przeżyła głód, kontyngenty niemieckie, likwidację Żydów w pobliskim Makowie Podhalańskim, śmierć krewniaka Antka Janiczaka zastrzelonego przez żandarmerię niemiecką z donosu lokalnego folksdojca.

Ojciec oczywiście wstąpił do Armii Krajowej, w tamtych rejonach nie prowadziła ona co prawda większych akcji partyzanckich, poza tym ojciec był tylko łącznikiem, a więc „nie zdążył” zostać bohaterem wojennym. Czego chyba skrycie żałował, opowiadając nam niejednokrotnie dramatyczną historię o wywożeniu rannych w czasie ofensywy styczniowej w 1945 roku, gdzie został zmobilizowany w charakterze wozaka. Wtedy jeszcze lubił ruskich, miał do nich sentyment jeszcze z argentyńskich czasów, znał trochę rosyjski.

Kiedy nadeszła wiosna 1945 roku ojciec, który interesował się bardzo sytuacją w kraju i polityką, wiedział o nadchodzących zmianach, o przesunięciu granic polskich na zachód, wyruszył na Ziemię Odzyskane. Czy to była kolejna chęć przygody, czy ucieczka przed babiniec w domu (Antosza, mama, mała Ola) nie wiadomo. Faktem jest, że z kilku odważniejszymi sąsiadami dotarł do Legnicy. Wrocław i okolice były wtedy morzem ruin, jednak łąny zbóż gotowe do żniw zachęcały nowoprzybyłych do osiedlania się, zwłaszcza ludzi z biednych górskich terenów, gdzie co najwyżej rósł lichej jęczmień i ziemniaki. Na początku lipca 1945 roku Leon trafił do wsi Guhlau, dzisiejszej Goli Świdnickiej. Wieś jest przeciętna, leży na bocznych szlakach komunikacyjnych. Został tam bo jak sam opowiadał zafascynowały go ogromne pola pszenicy, przypominające mu Argentynę oraz nieznaną wśród górali pola buraków cukrowych. W lipcu 1945 roku, wśród beztrosko dojrzewających zbóż w Guhlau, stały spalone wraz z załogami niemieckie czołgi, pozostałość po jednej z bitew pancernych z czasów Festung Breslau. Obok były ruiny startej na proch wsi Rungerndorf, którą obecnie nazywamy „Spaloną Wsią” i ciągle rosną tam zdziczałe drzewa owocowe. Guhlau, przemianowana wkrótce na Golę Świdnicką, była jak wszystkie wsie w tej okolicy, wsią bogatą, nowoczesną i cywilizowaną. Składała się z kilku dużych folwarków, takich po dwieście, trzysta hektarów i mniejszych zagród zamieszkałych głównie przez robotników rolnych i drobniejszych gospodarzy. Większość domów posiadała wodę i kanalizację, w niektórych były nawet łazienki. Przy folwarkach stały ogromne drewniane wieże, ówczesne silosy zbożowe i buraczane. Dla ułatwienia prac polowych, do niektórych pól ułożone były linie kolejki, resztki rampy załadunkowej z datą budowy (1919) istnieje przy drodze na Chwałów do dziś. Na folwarku należącym do 1945 roku do Jozefa Jennera, przy którym osiadła ostatecznie moja rodzina, była gorzelnia. Jej ruiny z kominem przetrwały do dnia dzisiejszego, zasiedlone od kilkunastu lat przez rodzinę bocianów. We wsi było kilka sklepów i ochronka na końcu wsi, obok wiekowego dębu. W centrum wsi, przesłonięty olbrzymimi kasztanami, stał kościół, gotycki, duży i katolicki! Tuż obok niego stał ładny, willowy dom z balkonem ozdobionym stiukami z aniołami i napisem „St. Angela”. Mieszkała w nim samotna stara kobieta o nazwisku Agnes Hielscher, wdowa po zmarłym w styczniu Oskarze. We wsi pozostało bardzo niewiele Niemców, były to głównie kobiety z dziećmi i starcy dla których ucieczka przed działaniami wojennymi w środku zimy była bardziej niebezpieczna niż pozostanie na miejscu.

Do takiej wsi i do tego domu ojciec sprowadził swoją rodzinę, wraz ze starszym bratem Alojzym i kilku ziomkami z Żarnówki. Mama przyjechała z kilkuletnią Olą, przywożąc kilka poduszek i krowę Sadulę (pamiętam ciemnoczerwonego z ułamanym rogiem diabła!).

Przez jakiś czas przesiedleńcy żyli razem z niemieckimi kobietami i dziećmi. Mężczyzn prawie nie było. Jednej i drugiej stronie nie było łatwo. Bariera językowa wykluczała jakiekolwiek porozumiewanie. W 1946 roku zaczęto masowo wysiedlać Niemców. Brakowało już miejsca dla wysiedlanych z „za Bugu”. Nasza wieś była już na szczęście prawie w całości opanowana przez kilka rodów z Żarnówki i Andrychowa i do dziś zostaje we władaniu górali. Staruszka Agnes ze swoimi świętymi figurkami nie znalazła już innego miejsca na ziemi. Jak się dowiedzieliśmy po latach, zmarła w 1947 roku w obozie dla wysiedleńców w Dreźnie. Pozostał po niej nasz rodzinny, od pół wieku, dom i jej rodzinny grób w Marcinowicach, w którym spoczywa jej jedyna córka - Angela. Grób dobrze się zachował na cmentarzu, tuż obok obecnego Urzędu Gminy w Marcinowicach. Może powinnyśmy tam zapalać świeczkę?

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę co ci ludzie musieli czuć, wypędzani na starość z własnych domów. Czujemy się trochę nieswojo, rozumiejąc tragedię wypędzania, ale jej nie przeżywszy. Nas potomków górali, nikt bowiem z rodowych siedzib nie wypędzał. Jednak utrzymanie rodziny w górach, na dwuhektarowym gospodarstwie, składającym się z dwudziestu czterech kawałków było bardzo trudne.

Nasza rodzina i wiele innych skorzystała po prostu z szansy jaką dała jej historia i opuściła biedną i przeludnioną Galicję. Dla takich rodzin jak nasza otworzyła się szansa na inną jakość życia. Wyrwania się poza obręb tej samej, od pokoleń grupy społecznej. W ciągu jednego zaledwie pokolenia większość członków mojej, od wieków chłopskiej rodziny, została mieszcuchami. Babcia Anna była praktycznie niepiśmienna, a prawie wszystkie jej prawnuki mają matury, a i tytuł magistra nie jest rzadkością. Smutne, ale prawdziwe: II wojna światowa, która takie dramaty przyniosła milionom ludzi, dla mojej rodziny była dość łaskawa. Otworzyła nam drzwi do innego świata, a jedynymi członkami rodziny, którzy przypłacili ją życiem była starsza ode mnie siostra Janina, która zmarła wkrótce po urodzeniu w Żarnówce, na skutek trudnych wojennych warunków i najmłodszy brat mamy, wuj Antoni Lurka, wywieziony na roboty do Niemiec, który bez śladu rozpląnął się w powojennej zawierusze. To kolejna ciekawa historia, pytanie zadawane przez ponad pół wieku, co się z nim stało? Widziano go w 1945 roku, już po zakończeniu wojny. Podobno pracował wtedy u Jakuba Haistlitza w Hattershaim-Main (Gosterbom)? Tyle udało mi się rozszyfrować z małej karteczki pozostałej po babci Annie. Poszukiwania przez Czerwony Krzyż nie dały żadnego rezultatu.

Wracam do rodzinnego gniazda w Goli Świdnickiej. Z cywilizacji i zamożności wsi, którą zobaczył mój ojciec w 1945 roku wkrótce zostało niewiele śladów, prości górale nie potrafili korzystać z dobrodziejstw cywilizacji. Wszystkie udogodnienia szybko zostały zdewastowane. Przykładem tego może być porcelanowa muszla klozetowa, gdy zepsuła się spłuczka i klozet się napelił utłukli go i wyrzucili z domu. Na to miejsce wystawili sobie „wygódkę” zbitą z trojga drzwi.

Niezintegrowana i bardzo zróżnicowana kulturalnie masa osiedleńców, w której wiele było przelotnych ptaków bez poczucia stabilizacji, szabrowała, niszczyła i wywoziła do centralnej Polski wszystko co się dało, konkurując tylko z Armią Czerwoną. Wielu osiedleńców jeszcze przez wiele lat po wojnie nie wierzyło, że zostanie tu na stałe. Pamiętam scenę, kiedy sąsiadka Syczykowa wyśmiewała mojego ojca stawiającego nowy płot na miejsce poniemieckiego, kompletnie spróchniałego. Poczynaniom osadników sekundowały władze centralne, oficjalnie, pięknie odbudowując zniszczone Wrocław i Głogów i inne „piastowskie miasta”, a po cichu zaś rozbierając zdrowe budynki i wywożąc miliony cegieł z Dolnego Śląska na odbudowę Warszawy i miast centralnej Polski. Dane statystyczne z tamtych lat są przerażające, dowodzą, że Dolny Śląsk był kolonią dla reszty kraju przez co najmniej trzydzieści lat. Niejeden budynek w centralnej Polsce został wybudowany z pieniędzy wyciśniętych z urodzajnych pszenno-buraczanych ziem pod Świdnicą. Za publiczne głoszenie takich poglądów w latach siedemdziesiątych miałam niezłe przykrości w pracy. Walnęłam to (o naiwności!) w jakimś rocznicowym referacie pisanym dla mojego ówczesnego szefa w Wojewódzkim Związku Kółek Rolniczych.

Pierwszy okres przekształcania wsi Guhlau w Golę Świdnicką wspaniale ilustruje zbiór autentycznych dokumentów wójta wsi w latach 1945-1946, który jakimś cudem przechował się w mojej rodzinie. Jest w posiadaniu mojej siostry Ireny Bąk w Goli.

Po przydługich dygresjach na tematy historyczne i polityczne, wracam do szczegółów życia rodziny, które dla mojego pokolenia zaczęło się dopiero w Goli. Osiedleńcy początkowo dostawali nadziały ziemi na kilkanaście hektarów. Żmudnie uczyli się nieznanych upraw buraka cukrowego, rzepaku oraz obsługi nieznanych maszyn i urządzeń. Koni było mało, głównie z darów UNRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration, Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, 1943-47). Nierzadko więc pracowano wołami, a nawet krowami. Wymuszało to wspólnoty w gospodarowaniu, wkrótce więc zaczęły wybuchać konflikty. Sprzyjał temu także fakt, że w jednym dużym folwarku osiedlano po kilka rodzin. Czasem nawet po pięć, jak w naszym przypadku. Dobrze przynajmniej, że ojciec, który do najzaradniejszych nie należał (lepiej wychodziła mu polityka) załatwił dla nas odrębny, obok stojący dom.

Ostatnich Niemców wysiedlono na przełomie 1946/47 roku, w samą porę, bo polskim przesiedleńcom zaczęły się rodzić dzieci. W każdym z tych roczników urodziło się ponad dwadzieścioro dzieci. Należę do obydwu roczników, urodziłam się bowiem w okolicach świąt Bożego Narodzenia 1946 roku, w pokoju na górze z oknami od podwórza. Dość szybko ochrzcił mnie ksiądz Marchewka (pierwszy legendarny proboszcz Świdnicy), bo już pierwszego stycznia 1947 roku, przy okazji wpisując mi w metrykę taką właśnie datę urodzenia. Potem poszło już szybko.

Mój ojciec jakby chciał nadrobić stracony w młodości czas. Prawie „co rok prorok” niestety same córki, w sumie pięć. W Goli urodziłam się ja, Irena, Zofia i Danuta. Żeńska passa została przełamana dopiero w 1953 roku, kiedy urodził się mój jedyny brat Jerzy. Niestety los nie był łaskawy, żył tylko osiem miesięcy, przyczyną jego śmierci było zatrucie pokarmowe. W tym samym czasie, wspomniana już górska krowa Sadula, tworzyła rodzinną dynastię czerwonych i łaciatych krów, które stały się przekleństwem naszego dzieciństwa, trzeba je było bowiem paść i w świętek i w piątek. Tak naprawdę w niemalym stopniu przyczyniły się do przeżycia licznej wcześniej wymienionej czeredy dzieciaków, w tych trudnych powojennych latach.

Historia wkrótce dała znowu znać o sobie. Wojna przyniosła nie tylko nowe granice i ziemie odzyskane, ale także nowy ustrój. Polska stała się Rzeczpospolitą Ludową, państwem Demokracji Ludowej, w której wszystko było własnością wszystkich, czyli niczyją.

W mojej wsi najważniejsza stała się państwowa gospodarka rolna lub ewentualnie spółdzielcza. Spółdzielnie i PGR tworzone dla tych, którym zabrakło ziemi, albo dla tych, którym nie chciało się samodzielnie pracować. Dla wzniosłych celów, wzorowanych na pierwszym socjalistycznym państwie świata ZSRR i wzniosłej myśli Lenina, zaczęto osadnikom odbierać ziemię – naszej rodzinie zostawiono tylko osiem hektarów. Odbierano również poniemieckie maszyny. Zaczęto badać przedwojenną i wojenną przeszłość wielu osób. Mój ojciec, w zasadzie bierny członek AK, stał się nagle „zapłutym karłem reakcji”, a na dokładkę „kułakiem”, bo nie chciał oddać świeżo uzyskanej ziemi do spółdzielni produkcyjnej, którą w Goli z zapalem neofity organizował jego rodzony brat Alojzy i pozostali krajanie z Żarnówki. Do spółdzielni nie zapisał się tylko mój ojciec, rodziny Betlejów, Bizoniów, Sordyli i kilku innych.

Zaczęły się ciężkie lata, ojca pozbawiono funkcji sołtysa, kilka razy aresztowany jako wróg ludu, przesiedział po parę dni w UB w Świdnicy. Do spółdzielni nie dał się zapisać, ale od tamtego czasu wręcz zionął nienawiścią do komunistów i Żydów. Twierdził, że w UB w Świdnicy rządzą sami Żydzi. Domiar obowiązkowych dostaw był taki, że przekraczał ówczesną wydajność z hektara bardzo już wyjałowionej ziemi. Żeby temu sprostać rodzina musiała dokupywać ziarno. A ja trochę pamiętam panów w zielonych czapkach i mundurach, byli to komornicy. Za niezapłacone podatki zajęto kiedyś zegar i płaszcze ciotki Heli z króliczym kołnierzem, jako najbardziej wartościowe przedmioty w naszym domu.

Na te ciężkie czasy nałożyła się jeszcze jedna niebezpieczna sprawa. Kuzyn mojej mamy Jan Pieronkiewicz (syn Wiktorii), który schronił się po wojnie w Goli, okazał się byłym partyzantem, bandytą jak ich nazywano. Rewizje i szykany dotknęły całą rodzinę. Jak przez mgłę pamiętam jakieś obrazy z tamtych lat: noc, mundury... Wuj Jan odsiedział wyrok za morderstwo, dowódca jego oddziału został skazany na karę śmierci. W więzieniu Pieronkiewicz siedział do 1957 roku. Uwolniła go dopiero amnestia po śmierci Stalina. Lubiłam wujka Jana, dużo czytał, rzeźbił – do dziś w moim mieszkaniu wiszą jego dzieła. O tamtej przeszłości wuj nie chciał opowiadać. Po latach nawet rewizje przybrały humorystyczny wydźwięk. Mama opowiada jak to żołnierze z KBW bezbłędnie potrafili wyniuchać i zjeść wszystkie jabłka i orzechy, a nie potrafili znaleźć nabojów w kominie. I Bogu dzięki, bo za sam fakt ich posiadania ojciec mógł być uznany za bandytę.

Na co dzień, gorsza od „zielonek” i KBW była bieda. Dobrze, że moja mama miała niesamowity talent manualny. Potrafiła zrobić wszystko: od przyszczypek (łaty) na butach, szycia sukienek dla czeredy córek, z przydziałowej czerwonej i niebieskiej flaneli, do drobnych domowych mebli i napraw maszyn rolniczych. Była także doskonałym furmanem. Konie tak naprawdę tylko jej słuchały. Ciągłe, razem z kuzynem Józefem Pieronkiewiczem tymi końmi handlowała. Dlatego wujek żartował, że mamy w sobie cygańską krew. Jednak w dużej mierze to, że nie chodziłyśmy brudne i obdarte zawdzięczamy babci Annie i ciotce Heli, potem gdy Ola podrosła przejęła te obowiązki, ponieważ ciotka Helena i babcia Anna wyprowadziły się do Pyszczyzna.

Babcia przyjechała na Dolny Śląsk, bo po śmierci męża nie mogła się dogadać z pasierbem Tadeuszem Lurką w Żarnówce, dlatego z kilkunastoletnią Heleną dołączyła do nas wkrótce po wojnie. Babcię Annę pamiętam jako wspaniałą, ciepłą i opiekuńczą kobietę. Mleko szło na obowiązkowe dostawy, ale potrafiła zawsze znaleźć parę łyżek śmietany do patelni z ziemniakami, które były naszym głównym pożywieniem. Potrafiła też być zdecydowana, jak opowiadał ojciec, skakała mu do oczu, tak

długo aż wymogła moje leczenie w dzieciństwie, kiedy bardzo ciężko zachorowałam. Leczenie dzieci na wsi nie było wtedy powszechne, rodziło się ich i umierało dużo, więc stosowano zasadę: „Bóg dał, Bóg wziął”. Na swoim chorowitym dzieciństwie i taryfie ulgowej, którą z tego powodu miałam, skorzystałam tyle, że pozwolono mi odejść ze wsi do szkoły jak podrosłam, mimo że byłam najstarsza z czwórki urodzonych w Goli sióstr.

Z tamtych lat do dziś pamiętam aromat plasterka kielbasy skrupulatnie przydzielanego przez mamę po każdej wyprawie na targ, gdzie czasem sprzedawała jajka lub ser nieobjęte obowiązkowymi dostawami. Każda z nas do dziś ma w pamięci te nieliczne zabawki, które wówczas miałyśmy. Nigdy nie zapomnę pierwszej w życiu własnej książki – były to „Bajki i baśnie polskie” na gazetowym papierze. Chyba bieda była głównym powodem, że niewiele brakowało, a najmłodsza siostra, Danusie zostałaby oddana innej rodzinie. Koniecznie chciała ją adoptować jej bezdzietna matka chrzestna, Helena Jaworek. Na szczęście nic z tego nie wyszło, dzięki romansowej naturze jej męża i dziecku, które miał z inną kobietą, ale to już zupełnie inna historia.

W międzyczasie w rodzinie miał miejsce kolejny skandal. Mieszkał u nas wtedy kuzyn Józef Knapczyk (syn Ludwiny, siostry ojca), zwyczajem rodzin z Żarnówki było przysyłać na Zachód dorosłe dzieci do pomocy rodzinie i dorobienia paru groszy na własne potrzeby. W Żarnówce w tamtych czasach była bieda jeszcze większa niż na Dolnym Śląsku. Zdarzyło się to, co normalne wśród młodych. W efekcie najmłodsza siostra mamy, Helena urodziła syna Staszka, który był prawie rówieśnikiem mojej siostry Danusi. Robiło się naprawdę ciasno. Nic dziwnego, że od tych problemów ojciec coraz częściej uciekał w świat książek i radia Wolna Europa, którego namiętnie słuchał. Talentu do gospodarowania większego nie miał, wszystko trzymało się kupy dzięki mamie.

Nadchodziły zmiany, pamiętam pewien wiosenny dzień tylko dlatego, że bolał mnie ząb i powieziono mnie furmanką do dentysty w Strzelcach. W całej okolicy zaczęły bić dzwony. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że właśnie kończy się pewna epoka – umarł Stalin. Zaczęły się gorączkowe spotkania, rozmowy wieczorne dorosłych, radio Wolna Europa na cały regulator, kłęby śmierdzącego dymu tytoniowego i my przycupnięte po kątach.

Z hukiem rozpadła się miejscowa spółdzielnia produkcyjna, każdy odbierał swoje konie i krowy, nie obeszło się bez utarczek. Wkrótce z nabożeństwem zaczęto słuchać dziwnego piskliwego głosu, człowieka o śmiesznym nazwisku Gomułka. We wszystkich wstępowała nowa nadzieja. Był też ranek, w którym widziałam łzy w oczach ojca przyklejonego do radia, z którego odbiegał szum obcych języków i odgłosy strzałów, „Węgry” „Nodź (Nagy)”. Było to ostrzeżenie dla wielu gorących głów – krwawo rozprawiono się z węgierskimi „buntownikami”.

Wkrótce wieś wróciła do własnych problemów, koncentrując się na organizowanie kółka rolniczego, kupowaniu pierwszych wspólnych chłopskich traktorów. W awangardzie takich przemian kroczyli oczywiście mój ojciec i stryj Alojzy. Przypomnieli sobie nawet, że przed wojną należeli do „Wici”.

We wsi od 1950 roku była już jednoklasowa szkoła i nie musiałyśmy, jak najstarsza siostra, chodzić na nogach do Domanic. Ojciec znowu został sołtysem, później radnym i działaczem kółkowym, najlepiej bowiem wychodziło mu „urzędowanie”. Stąd też życie wsi często koncentrowało się u nas w domu. Jeden z pokoiów na dole nazwany został kancelarią, która wkrótce stała się czymś w rodzaju wiejskiej świetlicy z wspólnym, kupionym za kółkowe pieniądze, telewizorem. Co się wtedy człowiek nasłuchał! Zwłaszcza, że nikt nie zwracał uwagi na małe przycupnięte po kątach dziewczynki. Nawet oglądałyśmy zakazane filmy dla dorosłych, siedząc cichutko na schodach i korzystając z faktu nabożnego wpatrywania się w ekran wszystkich dorosłych. To był dla nas raj. Jak wyglądał dom – nie pamiętam, pewnie jak chlewik, skoro któregoś dnia mama się zbuntowała i wywaliła z domu całą świetlicę łącznie z telewizorem.

Wtedy pewnie narodziła się myśl wybudowania wiejskiej świetlicy, urzeczywistniona dopiero w połowie lat siedemdziesiątych. Nasz żal za telewizorem został wkrótce ukojony faktem zakupienia własnego do spółki z sąsiadem. Był oczywiście ruski, metalowy i pieszczotliwie nazywałyśmy go szabaśnikiem, jako że bardzo przypominał to użyteczne kuchenne urządzenie (piekarnik).

Główną atrakcją naszego dzieciństwa była praca. W tamtych czasach już dziesięciolatki wykonywały takie same prace jak dorośli, nie pamiętam w jakim wieku my szłyśmy po raz pierwszy do przerywki buraków, wiązania zboża, wożenia snopków i oczywiście pasienia krów. Najcięższą pracą jaką pamiętam było noszenie wiader z domu do stajni na podwórzu – ujemna strona posiadania oddzielnego domu z dala od budynków gospodarskich. Miałymy poodmrażane palce u rąk i nóg. Siostra Irena ma po tych czasach lekko skrzywioną łopatkę. Nie było pralki, pranie na tarze robiła przeważnie ciotka Hela. To był koszmar, ale innego życia nie znałyśmy. Biejącej wody nikt we wsi już nie miał. U nas przetrwały co prawda resztki ponemieckiej łazienki, ale w wannie przechowywano śrutę. Warunki życia były ciężkie i dość prymitywne, powoli jednak zaczęło się to zmieniać.

W tamtych czasach był we wsi ktoś, kogo do dziś uważam za duszę wszystkich poczyniń wiejskich. Postać to dość tajemnicza i w jakiś sposób tragiczna, a ponieważ wywarł wpływ na moje życie należy mu się wspomnienie. Nazywał się Józef Łobos, pochodził gdzieś z Wołynia z okolic Sambora. Jak na zwykłego rolnika, był wykształcony, miał przedwojenną maturę. Mieszkał samotnie tylko z siostrą Agnieszką, w domu pełno było książek. To on przynosił mi książki i obudził we mnie głód wiedzy i świata. Co prawda nie wiedział, że Balzak nie jest najodpowiedniejszą lekturą dla jedenasto-dwunastoletniego dziecka, ale to od niego usłyszałam, że „Krwawa Pani na Czachcicach” to szmira nie warta wzroku. Poważnie potraktował mój zamiar dalszego kształcenia się po ukończeniu szkoły podstawowej i interesował się moimi postępami w nauce. Po latach, jako młodziutką absolwentkę, zaprowadził mnie do pewnego biura w Świdnicy i przedstawił jako swoją wychowankę. Zostałam w tym biurze aż siedemnaście lat, zostając w rezultacie urzędnikiem, a nie ogrodnikiem jak miałam zamiar. On sam urzędnikiem być nie chciał, choć przez lata prowadził kółkową księgowość i biura. Krążyły plotki, że był homoseksualistą, co niewykluczone. Mnie jego orientacja seksualna nic nie obchodziła i pamiętam go jako miłego i dobrego człowieka. Umarł w zakładzie dla psychicznie chorych, gdzie trafił w wyniku postępującego alkoholizmu.

Jak już wspomniałam, w dzieciństwie miałam taryfę ulgową po przebytej gruźlicy. Do dziś słucham opowieści o gromnicy zapalanej nad umierającym dzieckiem i modłach babci o cud. Cud się chyba zdarzył, a był nim przebywający w Anglii Józef Knapczyk, mąż ciotki Ludwiny, który zdążył przysłać nieosiągalną wtedy dla biednych, chłopskich rodzin penicylinę. Wyzdrowiałam, ale w wieku trzynastu lat przeszedłam kolejną ciężką chorobę, zapalenie stawów, niezbyt więc nadawałam się do ciężkiej pracy na wsi. Stąd też mnie najszybciej udało się wyrwać z wiejskiego kieratu. Dobrze rysowałam, więc zdałam do Liceum Plastycznego w Opolu, ale przerażona wielkim światem i własną śmiałością rozmyślałam się i poszłam do szkoły ogrodniczej, czując że lepiej będę się czuła wśród podobnych do mnie wiejskich dzieci. Był to rok 1961. Miałam szczęście, bo mój ojciec pod tym względem był bardzo staroświecki, nie uznawał potrzeby uzyskania wykształcenia. Pozostałe siostry może były nawet zdolniejsze ode mnie, ale miały więcej krzepy, więc zostały przywiązane do ziemi.

Pozostałam poza domem sześć lat. Do rodzinnej wsi na stałe wróciłam dopiero w styczniu 1967 roku i rodzinne życie z czasów mojej nieobecności znam głównie z opowieści. Po powrocie zastałam spore zmiany. Najstarsza siostra Ola wyszła za mąż za Stefana Hyrlickiego, rodaka z Harbutowic i wraz z nim wyjechała na jedną z wielkich ówczesnych budów tj. Kopalnię Węgla Brunatnego i Elektrownię Turossów. Zamieszkała ze swoją rodziną w Porajowie, wkrótce zaczęło się rodzić następne pokolenie: Beata, Sławek Hyrliccy, a po kilku latach Sylwek.

Siostry dorastały, gdy wróciłam do domu akurat najmłodsza Danusia kończyła szkołę podstawową. Wieś, a i nasz dom pełen był młodzieży. Aż kipiało od pomysłów. Młodzież była zgrana i ofiarna, zabawy organizowaliśmy w starym spichlerzu albo pod gołym niebem. Społecznymi siłami rozpoczęto budowę wiejskiego domu kultury.

Istniało poczucie pewnej stabilizacji, bo ci którzy mieli opuścić Dolny Śląsk już wyjechali, dorastała młodzież tu urodzona, która chciała już innej jakości życia. Rodzice dokupili trochę ziemi, a także do spółki z sąsiadem Woźnym pierwszy ciągnik Zetor, bo w rodzinie poza ojcem nie było jeszcze innego mężczyzny, a jak wiadomo on akurat był antytalentem technicznym. Poczucie stabilizacji było tak silne, że rodzice zdecydowali się zaciągnąć kredyt i wybudować nową oborę, aż na dwanaście sztuk bydła. Cóż to była za piękna obora jak na tamte czasy! Z pustaków i papy. Co prawda po paru latach okazało się, że typowy projekt obory bardziej nadaje się do produkcji pieczarek niż hodowli bydła, jako że

architekt zapomniał o wentylacji. Ale i tak był to postęp, nie trzeba było tak daleko nosić wiader z wodą i karmą.

Wkrótce potem babiniec wystawił głowę rodziny na kolejną próbę. Mianowicie podpuścił mamę, do podjęcia decyzji o doprowadzeniu bieżącej wody i odbudowie łazienki, w której nadal przechowywano śrutę. Ojciec ze swoim babcim zawsze znajdował się na pozycji przegranego, ale tu chyba trochę pomogła zabawna historia, której niechcący stał się bohaterem. Nasza drewniana wygódka była już w bardzo złym stanie, a w pewne niedzielne popołudnie ojciec poszedł tam na dłuższe, poobiednie posiedzenie. Nie wiedział, że z drugiej strony na kocach odpoczywają wszystkie jego córki z licznym gronem koleżanek. Po długiej serii jęków i stękań, bezskutecznych zresztą, podjął gwałtowną gimnastykę, której efektem było odpadnięcie spróchniałej tylnej ścianki wygódki. Naszym zdumionym oczom ukazała się w całej okazałości ta część ciała ojca, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Tak więc doczekaliśmy się łazienki i bieżącej wody w domu i oborze.

Wkrótce modne stały się czyny produkcyjne, także na wsi dla uczczenia kolejnych zjazdów Partii, Plenum itp. Zaczęto popierać hodowle, organizować konkursy czystości i ogródków, w czym jako ówczesna instruktorka gospodarstwa wiejskiego miałam pewien udział. Pojawiła się więc w gospodarstwie dojarka elektryczna marki „Alfa-Laval”, a bydło stało się jedną z najważniejszych gałęzi produkcji w gospodarstwie. I tak do dziś pozostało.

Rodzina zaczęła się rozrastać, młodsze siostry zaczęły wychodzić za mąż. Ja jakoś nie miałam szczęścia. Ci, których ja chciałam, mnie nie chcieli i odwrotnie. Z czasem przywykłam i nie chciałam już żadnej zmiany.

Zosia wyszła za mąż w 1971 roku, za syna sąsiadów Jana Króliczka. Ślub kościelny odbył się razem z chrztem Magdaleny, wesele było skromne. Po roku urodził się Wiktor (Marcin). Jednak jej małżeństwo, ze względu na pijaństwo Jana, okazało się nieudane, lecz nigdy nie zakończyło się rozwodem. Dopiero nagła śmierć Jaśka w 1995 roku rozwiązała przysięgę małżeńską. Zosia miała taką naturę, że nigdy nie zaakceptowała tego faktu, wołała sama i z pomocą rodziny wychowywać dzieci niż trwać w chorym związku z alkoholikiem. W przeciwieństwie do Aleksandry, która nigdy nie opuściła swego męża, który nie dość, że był pijakiem, to traktował ją jak worek treningowy.

Niedługo potem, w 1973 roku wyszła za mąż Irena, za chłopaka z naszej wsi Józka Bąka. Związek ten wywołał pewne zdumienie naszej wiejskiej społeczności, gdzie ci zamożniejsi trzymali się razem, a nasz szwagier do zamożnych nie należał. Wybór siostry okazał się bardzo udany, Józek okazał się pracowitym, rozsądnym i dobrym człowiekiem. Tym sposobem nasza babska rodzina zyskała cenny męski nabytek. Rodzinne geny jeszcze raz dały o sobie znać, bo urodziły im się córki: Renata, Marta i Olga. Po kilku latach zaryzykowali i kupili za kredyt własne siedmiohektarowe gospodarstwo, stawiając tym rodziców przed alternatywą: albo przepiszą gospodarstwo na nich, albo odejdą na swoje.

Cała rodzina żyła w miarę zgodnie pod jednym dachem, ale robił się już niezły „kołchoz”. Stąd też w 1975 roku wyprowadziłam się do Świdnicy pod pretekstem opieki nad najmłodszą siostrą Danusią, która była właśnie po ciężkiej operacji nerek. Dana mieszkała już w Świdnicy na sublokatorce przy ul. Puławskiego. Przemieszkaliśmy na tym strychu prawie trzy lata, aż do zamążpójścia Danki w 1978 roku. Wyszła za mąż za Ryśka Natanka, kolegę szkolnego, bardzo przez nas wszystkich lubianego. To stadło też okazało się udane. Urodziła się Paulina ich córka.

Były to w miarę spokojne lata, rodzina się powiększała o nowych członków, ale odchodzili najstarsi. Nie żyła już od 1977 roku babcia Anna, która zakończyła swoje pracowite życie w wieku dziewięćdziesięciu lat. Zmarła ciotka Antoszka ekscentryczna stara panna i stryj Antoni – rodzeństwo ojca. Nie żył Józef Knapczyk – mój dobrodziej od penicyliny, którego nawet nie zdążyłam poznać, bo byłam w szkole, a on umarł na raka wkrótce po powrocie z Anglii. Tragicznie zmarł w 1979 roku nasz przyszywany brat z dzieciństwa Staszek Lurka. Szwagrowi Józkowi Bąkowi zmarła niewidoma matka, od lat przebywająca w Zakładzie Opieki ze względu na ślepotę.

Życie rodziny nadal koncentrowało się w tym samym domu pod kasztanami. Aniołki ze stiuku były co jakiś czas odnawiane, tylko napis trzeba było przerobić z Angeliki na Anielę w czasach kiedy bardzo starannie usuwane ślady niemieckości.

Jeździliśmy tam ciągle, ci ze Świdnicy i ci z Porajowa na święta, wakacje, urlopy, pomagać w polu, a tak naprawdę przypomnieć sobie zapachy dzieciństwa. Lipy i bzy były bowiem niezmiennie, tak samo jak gromady psów i kotów. Dom rodzinny kojarzy mi się po latach bardzo sympatycznie: dużo kwiatów, książek i zwierząt.

Ojciec mocno posunięty w latach dziwaczał, robił się przykry, zaczął chorować na astmę, mama często uciekała od niego do Świdnicy, do nas – do mnie i Danusi – a mieszkaliśmy wtedy w bloku przy ulicy Dąbrowskiego. Rysiek dostał bowiem wkrótce po ślubie mieszkanie zakładowe, a ja mieszkalam razem z nimi.

Nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy, że czas jakiejś takiej stabilizacji się kończy. Były to już czasy późnego Gierka, ale widocznych objawów kryzysu nie było jeszcze widać. Jeździłam na wczasy i wycieczki, zobaczyłam wtedy Petersburg i przeżyłam pierwszą podróż morską. Otwarto granice do Czech i do NRD, u nas zaczęło brakować niektórych towarów. W Goli Irena, tak jak mama, zbierała kolejne nagrody za wydajność mleka. Zosia z dziećmi przeniosła się do drugiego domu Bąków (po Kuchcie).

Do polityki się nie mieszałam, mimo ogromnych dyskusji z ojcem, który nie mógł znieść faktu, że jego córki, tzn. ja i Zosia, wychowane od dziecka przy radiu Wolna Europa, są zdeklarowanymi komunistkami. Obydwie należałyśmy do PZRP (Polska Zjednoczona partia Robotnicza) i byłyśmy z tego dumne. Wkrótce świat miał się nam zawalić na głowę. Niesłychany rok 1980, szok i ulga, że nie ma strzałów, że się dogadują, nowe pojęcia, nowe słowa. W kilka godzin po podpisaniu Porozumień Gdańskich pojechałam na wczasy w Bieszczady, nie zdając sobie sprawy, że jadę przez podminowaną Polskę.

W 1981 roku ogromna radość, po dwunastu latach czekania nareszcie miałam szansę na własne mieszkanie. Puste sklepy, puste półki, społeczne kolejki po meble, pralki, telewizory, ale „nic to”, jak mówił pan Wołodyjowski. Cieszyłam się ogromnie, lecz wyszedł problem, gdy zostałam zaproszona przez matkę Ryśka Natanka do Belgii. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam prawdziwy Zachód. Miesiąc czekania na paszport i wizy. Szybciej dostała paszport konsularny Natankowa i zdążyła przyjechać do kraju. W Belgii szok, obfitość towarów, luz, inna cywilizacja i przerażenie, że Rosjanie wkroczą do Polski lada dzień. Wszyscy namawiali mnie do pozostania, gotowi nawet znaleźć mi męża. Wróciłam jednak przede wszystkim po to, żeby odebrać klucze od upragnionego mieszkania.

Dzień 13 grudnia 1981 roku zastał mnie samiuteńką w moim pustym mieszkaniu, ze świadomością, że mam dyżur w pracy. Dla nas wszystkich był to szok, pierwsze powojenne pokolenie PRL wychowane i ukształtowane przez ten system skoczyło mu do gardła. Obeszło się na szczęście bez większego rozlewu krwi, nie wiedzieliśmy wtedy, że jest to początek końca pewnej epoki. Wraz z nią odszedł mój ojciec. Zmarł na początku stanu wojennego, 2 stycznia 1982 roku. Lata osiemdziesiąte upłynęły pod znakiem kryzysu – wszystkiego brakowało, po wszystko trzeba było stać w kolejkach: po papierosy czy kawę, sposobem trzeba było zdobywać papier toaletowy. Lata te były niełatwe i materialnie i politycznie. Cekał nas jeszcze większy szok w 1989 roku, kiedy pokolenie czterdziestolatków usłyszało, że nie ma żadnego dorobku, że spędziło większość życia budując utopię i zbrodnię, że zmarnowało życie... Trzeba było zaczynać od nowa. Uczyć się wszystkiego od początku – historii, ekonomii, techniki, a przede wszystkim nowego sposobu myślenia.

I tak powoli zbliżam się do współczesności. Gdzie i kim jesteśmy dziś na przełomie wieków i tysiącleci.

Moja mama Stanisława Rusin od lat choruje na cukrzycę, pomimo to ma szansę dożyć sędziwego wieku. Od 1984 roku mieszka ze mną przy ulicy Prądyńskiego 39/2 w Świdnicy. Przez całe lata mieszkała z nami moja siostrzenica Magda Króliczek – córka Zosi, ale już się usamodzielniała, skończyła studia ekonomiczne, pracuje w Fabryce Wagonów w Świdnicy i wyszła za mąż za Damiana Rzyhaka, kolegę z Liceum Ogólnokształcącego. Urodził im się syn Aleksander.

Ja pracowałam całe życie jako urzędniczka, najpierw w WZKR (wojewódzki Związek Kółek Rolniczych), potem w Urzędzie Gminy w Marcinowicach, ostatnio jako Sekretarz Gminy. Teraz czeka mnie zasłużona emerytura.

Rodzina najstarszej siostry Oli Bogusławy Hyrlickiej nadal mieszka w Porajowie. Siostra jest już na emeryturze, jej mąż Stefan także. Córka Beata wyszła za mąż za Rudka Kuczycy i mają troje dzieci: Wiktora, Czarka i Gabrielę. Kiedyś prowadzili bar, niestety zbankrutowali. Syn Sławek nie ożenił się, mieszka nadal z rodzicami. Najmłodszy syn Sylwek ożenił się z Magdaleną, mają dwie córeczki: Kingę i Ewelinę.

Gospodarstwo siostry Ireny nadal się rozwija. Bąkowie mają ponad czterdzieści hektarów. Stado bydła przynosi główny dochód w gospodarstwie. Motorem zmian i postępu jest aktualnie ich córka Marta. Mimo nowoczesności borykają się z licznymi problemami, które dziś nękają rolników, dotyczącymi głównie przystosowania się do wymogów Unii Europejskiej. Starsza córka Renata została magistrem filologii polskiej, wyszła za mąż za Piotra Konarskiego w 1999 roku urodziła im się córka Antonina. Renata pracuje w Gimnazjum w Marcinowicach. Najmłodsza córka Ireny, Olga, uczy się w Liceum Ogólnokształcącym.

Siostra Zosia nadal pracuje w fabryce Diora, mieszka w jednym domu z Wiktorem, który po skończeniu technikum elektrycznego, ożenił się z Małgosią Borową, a ich córka Sara rozpoczęła naukę w szkole podstawowej. Wiktor, podobnie jak jego siostra Magda, pracuje w Świdnickich Wagonach. Dom, w którym mieszka z rodziną, należał kiedyś do Bąków, Wiktor otrzymał go w prezencie ślubnym, własnoręcznie go wyremontował. Dla Sary będzie domem rodzinnym.

Najmłodsza siostra Danusia nadal pracuje w szkole, jako sprzątaczką, przeżyła kilka ciężkich lat z powodu ciężkiej choroby Ryśka. Obecnie jest on po przeszczepie nerki i ma szansę żyć w miarę normalnie. Często odwiedzają ją teściowie z Belgii. Ich córka Paulina zdała maturę, obecnie pracuje w biurze i zaocznie studiuje administrację na Uniwersytecie Wrocławskim.

Na tym kończę rodzinną opowieść. Wiem, że historia jest tylko jedna, ale każdy przedstawia ją ze swojego punktu widzenia, dlatego niech mi inni wybaczą subiektywne spojrzenie.

Świdnica, 28 listopada 2002 roku



Rodzina w Żarnówce - krzyżykami oznaczeni są dziadek Leon i jego siostra Antoszka



Trzy siostry z matką Anną;
po lewej stronie zdjęcia Stanisława Rusin
– matka Krystyny, ze starszą córeczką Olą



Trzy siostry;
po lewej Stanisława Rusin



Trzy siostry;
Stanisława Rusin w środku



Na zdjęciu po lewej: siedzi Leon Rusin, ojciec Krystyny, a po prawej: Józef Knapczyk, mąż Ludwiny, siostry ojca



Końmi powozi Stanisława Rusin, obok niej siedzi starsza córka Ola



Na obydwu zdjęciach
rolnik Józef Łobos – sąsiad z Goli





Autorka „Opowieści rodzinnej”
Krystyna Rusin w latach 70.



Gola Świdnicka: dom Leona i Stanisławy Rusinów (wcześniej dom Oskara i Agnes Hielscher)



Krystyna Rusin w latach 60.